



Losy rodzin są jak drzewa  
o rozwichrzonych gałęziach,  
splatają się ze sobą  
na wiele sposobów...

# Gospoda pod Rocianem



KATARZYNA DROGA



Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autor oraz Wydawnictwo HELION dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz Wydawnictwo HELION nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Opieka redakcyjna: Ewelina Burska  
Redakcja: Barbara Miecznicka  
Projekt okładki: ULABUKA

Wydawnictwo HELION  
ul. Kościuszki 1c, 44-100 GLIWICE  
tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63  
e-mail: [editio@editio.pl](mailto:editio@editio.pl)  
WWW: <http://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

ISBN: 978-83-283-3826-5

Copyright © Helion 2018

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

## *Spis treści*

Mateusz .....	9
Teodor .....	21
Trzej towarzysze .....	55
Karolina .....	79
Teodora .....	107
Dzieci wojny .....	155
Pokolenie synów .....	183
Konstanty .....	211



## *Teodor*

Gospoda pod Bocianem rozbrzmiewała muzyką, ciepłe, mocne światło rozjaśniało okna, obsługa wesela uwijała się jak w ukropie. Pochodnie płonęły wzdłuż lipowej alei i w obejściu, a wielką izbę, zwaną stołową, oświetlały lampy naftowe wspomagane niezliczonymi świecznikami. Szeroki wjazd na dziedziniec zapraszał spóźnione powozy, brukowane kostki podjazdu wyszorowano, by stukot kopyt końskich słyszało całe miasteczko. O północy petardy wystrzeliły w niebo snopem kolorowych świateł, rozbłyły w ciemności jak pawie ogony, pan młody pochwycił pannę młodą na ręce, obrócił wokół siebie jak piórko, niósł do oczepin, goście, oczarowani, bili brawo. Noc weselna upływała szybko wśród tańców i gwaru rozmów. Żenił się Teodor Bogosz, właściciel Gospody pod Bocianem, najprzedniejszej w Kalinowie, właściwie jedynej znacznej oberży z hotelem i zaprzęgami konnymi. Dwa lata wstecz nikt by tego nie powiedział o smętnym budyńeczku na rozstaju dróg, wybudowanym w końcu romantycznego dziewiętnastego stulecia przez pierwszego Bogosza, Henryka, przybyłego tutaj nie wiadomo skąd, ale z funduszami wystarczającymi, by się osiedlić, zbudować gospodę, założyć rodzinę, owdowieć i umrzeć w roku osiemnastym. Teodor odziedziczył gospodę po ojcu. Przyjechał na pogrzeb aż z Wiednia, gdzie pobierał nauki w szkole handlowej. Po śmierci Henryka Bogosza musiał zdecydować: czy zostaje tu, w ojczyźnie, która właśnie odzyskała wolność, czy też sprzedaje rodzinną schedę i wyjeżdża, by zapaść korzenie na dowolnym, wybranym przez siebie kawałku świata. Mógł ruszać w nieznaną, był bowiem sam jak palec. Samotność odczuł dopiero tutaj, na smutnym pogrzebie, wśród kilku osób, które żegnały oberżystę na małym przykaplicznym cmentarzu. Ksiądz i kilku sąsiadów

— oto cały kondukt, rodziny Henryk, a więc i jego syn Teodor, nie miał żadnej. Matka zmarła dawno, ledwie ją pamiętał, a z sześciorga dzieci, które urodziła, uchował się tylko on, więc po śmierci ojca pozostał jedynym spadkobiercą Gospody pod Bocianem lub tego, co z niej zostało. Teodor nie płakał na pogrzebie, łąził po obejściu dookoła oberży, przyglądał się. Rozłożysta budowla na planie krzyża była mocna, murowana, ale zniszczona, okna, dzięki Bogu, duże, wpuszczały światło do wnętrza. Oparł się o framugę okienną, zamyslił. Wcale nie oddawał się sentymentom, nie wspominał lat dzieciennych, jak podejrzewano, ale obliczał. Bardzo dobrze nauczył się liczyć w wiedeńskiej szkole, zwykował się na kapitalistę, więc teraz liczył i liczył: ile kosztowałyby ulepszenia, jaki potencjał może mieć taki obiekt, kiedy zacznie zarabiać, by zwróciło się to, co musiałyby zainwestować. Do dyspozycji miał grosz uciulany przez ojca, całkiem niemały: sakiewkę imperiałów i biżuterię, której pewno matka na oczy nie widziała. Mógł za to i za pieniądze ze sprzedaży gospody kupić fabryczkę w Galicji, pod Lwowem może albo bliżej Krakowa, gdzie lubił bywać. Ojciec pewnie taką drogę by doradzał.

— Tutaj nigdy się nie dorobisz — przestrzegał Teodora, kiedy wysyłał go do szkół, specjalnie do Wiednia, w dalekie strony. — W tym przeklętym kraju, gdzie albo się biją, albo kłóca, nic nie przetrwa... Wojna ma być, powiadają, ja nie chcę dawać jedynaka na mięso armatnie. Cały ten zajazd przeklęty, prawdę, widać, mówił stary Żyd Icek, że na zgliszczach pobudowany... Mnie szczęścia nie przyniósł, jedź, synu, i wróc mnie pochować, ale dom zbuduj daleko.

Tak się stało. Miał rację stary i co do wojny: jako pierwsza przetoczyła się przez Europę i przez cały świat, ale wbrew jego krakaniu nie uczyniła większych szkód rodzinie Bogosza ani zajazdowi. Gospoda pod Bocianem ocalała, tylko konie wszystkie zabrano, ale jedno wojska się wycofywały, drugie wkraczały, a noclegu i piwa potrzebowały jednakowo, niezależnie od munduru. Udało się też Teodorowi uniknąć poboru do wojska — przebywał w szkole, paradoksal-

nie obywatelstwo miał rosyjskie, więc w Kalinowie go nie było, a w Austrii pobór go nie dotyczył. Pierwsza wojna światowa przyniosła również wolność ojczyźnie — Gospoda pod Bocianem znalazła się na terenie wskrzeszonej Rzeczypospolitej. Dwudziestojednoletni Teodor był teraz Polakiem i można powiedzieć, że wszystko by się ułożyło, gdyby nie to, że ojcu wojna i utrata koni zabrały zdrowie. Mimo miłości do ojczyzny nadal nie wierzył w przyszłość Podlasia. Nawet na klimat narzekał, na długie zimy i chłodne przedwiośnia, które mu rzeczywiście nie służyły, bo niedługo po tym, jak nastąpiła wolność, zaziębił się, dostał zapalenia płuc i umierał. Wezwany listem Teodor zdążył przybyć i pożegnać ojca na łożu śmierci.

— Wyjeżdżaj stąd — powtórzył ze starym uporem Henryk Bogosz, ale umarł szczęśliwy, że syn przyjechał i był z nim w ostatniej godzinie.

Poważny, zasmucony Teodor miał za sobą długą drogę. Kiedy tak jechał, rozglądał się uważnie, zatrzymywał w miastach i nadstawiał ucha. Nowy, szeroki gościniec będzie wiódł z Białegostoku na Warszawę, a na północny wschód na Wilno, właśnie przez Kalinowo. Stary zajazd ojca, otoczony wierzby i lipami, stał dokładnie na placu, wokół którego krzyżowały się coraz częściej uczęszczane trakty. Drogi były po prostu ubite albo brukowane. Jeśli jeszcze je poprawią... Brama gospody zawieszona na solidnym parkanie stała otworem dla kurierów pocztowych i podróżnych, a ostatnio też dla przewoźników, bo ożywił się handel. Na Litwę wożono towary, ludzie jeździli tędy do Wilna na Jarmark Kaziukowy. Będzie rosło znaczenie tego zajazdu, bo dyliżanse podążające z Kongresówki do Moskwy, a nawet na południe, do Galicji, muszą gdzieś się zatrzymać w tak dalekiej i długotrwałej podróży. Może kiedyś wreszcie i nowoczesny samochód przejedzie tą trasą? Kalinowo, nieduże miasteczko, było ładnie położone nad małą, ale rwącą rzeczką Wymakracz, podążającą bystro i energicznie ku Narwi, a z nią do Wisły. Miało zabytkowy kościół, klasztor karmelitek, szkołę, ratusz, kilka kamienic, karczmę

żydowską przy rynku, a nieopodal miasta dwór ziemiański, zwany od nazwiska właścicieli Barwinem. Rozmyślał też wiele Teodor o nowym wieku dwudziestym, który, jak on, ledwie osiągnął pełnoletność i choć młody, sporo zdążył pokazać.

„Co to jeszcze będzie w dwudziestym wieku”, rozmyślał Teodor. „Ciekawy czas! Skoro już wymyślono silnik, telegraf i ruchome obrazy, ba, aeroplany, co jeszcze wymyślą ludzie? Ojciec twierdził, że nic więcej do wymyślenia nie ma...”. Ale Teodor widział w Wiedniu niejedno i rozumował logicznie: „Cokolwiek wymyślą, muszą podróżować, konie gdzieś zmieniać po drodze, nocować i zjeść. Kolej idzie przez inną ziemię, dość daleko, zresztą niewiele na kolej stać. Latać przecież nie będą, nie do Wilna”. Teodor nie był romantykiem, twardo stąpał po ziemi. Podjął decyzję, wrócił do gospody, przegonił Żydów czekających na odpowiedź, czy sprzeda zajazd. Do Wiednia wysłał listy i umyślnego po rzeczy, sam zaś zakasał rękawy i zabrał się do roboty: remontowania, sprzątania, rozbudowywania. Chciał mieć bieżącą wodę, jaką widział w domach austriackich, i dużo większą stajnię. Chciał dokupić koni i mieć własne powozy. Nowy rok, 1920, przywitał w odnowionym budynku, w coraz chętniej odwiedzanej Gospodzie pod Bocianem. Nazwy starej nie zmieniał, wioska bociania nieopodal przydawała miejscu uroku, a jedno gniazdo, najważniejsze, najstarsze, na wierzbie przy samym domu, pamiętał z dzieciństwa tak mgliście jak matkę i dlatego było mu miłe. Ruch na traktach rzeczywiście wzmagał się z każdą wiosną. Goście napływali z trzech stron: kupcy i politycy, czasem wychudzeni sybiracy powracający z Rosji, a czasem odziane w piękne suknie damy, które jechały do wód czy do Warszawy po sprawunki i żądały noclegu. Teodor nie pytał nigdy o cel podróży, w milczeniu pobierał opłaty i inwestował, nie był gadatliwy i nie miał poczucia humoru. Skończył dwadzieścia trzy lata, kiedy uznał, że czas się ożenić. Znów przeliczył sobie wszystko, przemyślał argumenty za i przeciw. Kobiety lubił, z niejedną już obcował, pokojówki były mu przychyłne, ale dobrej,



uczciwej gospodyni zarządzającej kobiecym działem bardzo mu brakowało. Kucharka Julka gotowała źle, goście skarżyli się na posiłki, przyjezdne damy pokpiwały, że wystrój jadalni prowincjonalny. Otóż zmysłu do koronek, firanek, łyżeczek, filiżanek i podobnych drobiazgów nie miał. Razem z żoną przyszedłby posag, co także było nie do pogardzenia. Potomstwo — i o tym zaczął myśleć. Wszystko mógł mieć za jednym posunięciem: i młodą żonkę w łóżku, i jej majątek w banku, i ręce do pracy w dziedzinach, na których znały się tylko kobiety. Kto wie, może wieczory byłyby przyjemniejsze, gdyby mógł z kimś porozmawiać albo żonka zagrała na pianinie, jak panna Roza, córka dyrektora szkoły w Wiedniu. Pianino w stołowym stało ciche, czasem rzępolił na nim jakiś podпиты gość. Pochlebiał sobie Teodor, że jest przystojnym mężczyzną, jako młodzieniec był wprawdzie zbyt szczupły, teraz zmężniał i nabrał masy od pracy fizycznej, włosy miał jasne, ale gęste, wąs nosił cesarski, wywinięty na policzki, też płowy, a brwi przy tym miał ciemne, wyraziste, jakby narysowane węglem nad niebieskimi oczami. Nie wiedział, że mruży te oczy jak człowiek krótkowzroczny, że onieśmiela wieczną powagą. Przeglądając się w lustrze w holu, doszedł do wniosku, że może dużo zaoferować młodej kobiecie. Zaczął się zatem rozglądać. Przez dwa lata w miasteczku zdołał zdobyć mocną pozycję, był szanowany z racji majątku, wykształcenia i rozmachu, z jakim działał. Zapraszał go na karty dziedzic z majątku Barwin, zajeżdżający do gospody porozmawiać o Wiedniu, bo z całej okolicy tylko jeden Teodor był w mieście Straussa, a dziedzic miał jakichś krewnych w Austrii. Grywał w pokera i w remika z księdzem, z jegomościami z rady miejskiej, z młodym dyrektorem szkoły Ernestem Parczewskim, którego polubił najbardziej, jako swojego rówieśnika. W kościele miał własną ławę, Bogoszków, tylko boleśnie pustą, a kłaniali mu się uprzejmie co zamożniejsi kalinowianie, chętnie też wpadali na kufel piwa do Bociana, bo tak najczęściej mawiali. Mógł się zatem Teodor spodziewać, że w każdej z rodzin jego

oświadczyzny zostaną chętnie przyjęte, rozglądał się, na msze uczęszczał, na bale w remizie strażackiej takoz, ale nie mógł znaleźć wśród mieszkanek Kalinowa panny, która podobałaby mu się z urody, mogłaby być matką jego dzieci, umiała pracować w gospodzie i z którą chciałby spędzać wieczory. Radził się przyjaciela Ernesta. Zaaprzyjaźnił się z nim, bo Parczewski był inteligentny, studiował we Lwowie, a do szkoły w Kalinowie trafił, ponieważ spłacał dług zaciągnięty w ratuszu na lwowską edukację. Czas spłaty minął, władze się zmieniły, ale Ernest w mieście pozostał. Muzykowali razem i czasem doradzał Teodorowi, co kupić do gospody, żeby sala stołowa wyglądała bardziej elegancko, a pokoje gościnne schludniej, no i jak się uporać z Insektami. Parczewski, chudy, nieduży szatyn w okrągłych okularach, rozumiał plany Teodora. Rzekł mu raz w zamyśleniu: „A ty pannę Tosię poznałeś? Córkę Janisza, z którym w karty grywamy u dziedzica w Barwinie? Ona ostatni rok pobiera nauki na pensji w Częstochowie, u pani Kazimiery Raczkowskiej. Wróci na wakacje, w tym roku będzie jej osiemnaście wiosen. Młodsza od ciebie cztery lata, akurat! Janiszowie najzamożniejsi w Kalinowie, bo stary szlachciura wykazał zmysł do handlu, przejął od carskich budynki w dobrym momencie. Do niego należą magazyny w mieście, ale i młyny po wsiach okolicznych. Tosia jest ładna. Po mojemu byłaby w sam raz dla ciebie. Ale czy Janisz córkę ci odda, to nie wiem”.

Wczesnym latem tego roku Teodor w kościele na niedzielnej mszy ujrzał pannę Teodorę Janiszównę. Wróciła do domu na wakacje, bo planowano jej dalszą edukację w szkole dla panienek w Białymstoku. Panna siedziała w ławce Janiszów, a po mszy stała z koleżankami, śmiała się i chyba zauważyła, że Teodor przygląda się jej ciekawie, chociaż wzrokiem umykał, kiedy Tosia odwracała ku niemu głowę. Umykał, ale zauważył, że jest wysoka, postawna, pełna w biuście i biodrach, i wydała mu się taka cała jasna. Miała jasne rzęsy, pod nimi przezroczyście niebieskie oczy, jasną skórę, prawie białe włosy

i różowe policzki. Może nie była piękną, jak niektóre przyjezdne damy, które podpatrywał, ale podobała się Teodorowi: złotawy warkocz uciekał spod nowoczesnego kapelusika, zupełnie innego niż staromodne duże i ozdobione piórami kapelusze kalinowskich pań. Jasna sukienka kończyła się nad kostką, miała nawet dekolt w szpic, jakiego dotąd Teodor nie widywał. I to imię: on Teodor, ona Teodora, jak znak na niebie. Ukłonił się jej uprzejmie, odpowiedziała z uśmiechem i mocno poczerwieniała. Zapragnął jej może dzięki temu rumieńcowi, bo był dowodem żywej młodej krwi tętniącej w żyłach dziewczyny, i już następnej niedzieli podszedł po mszy do rodziny Janiszów, zapytał ojca Tosi, czy może zaprosić ją na przechadzkę po parku. Stary Janisz, mimo że Teodora znał, poczerwieniał po uszy i odmówił. Brat Tosi, Genio, wyprostował się butnie, gotów do swary. Janisz jednak popchnął go przed siebie, pochwyił córkę i żonę pod ramiona, poprowadził do bryczki, z bata strzelił i zniknęli. Teodor został sam na placu przed kościołem, zamyślił się. Nie czuł się upokorzony, chociaż kalinowianie wymieniali półuśmieszki i porozumiewawcze spojrzenia. Potarł ręką podbródek, oczy przyzmrużył, jakby patrzył w przyszłość, ale spoglądał za bryczką. Panna Teodora odwróciła się, posłała mu lekki uśmiech, dostrzegł w jej oczach zachętę.

Jeśli stary Janisz chciał odmową położyć kres znajomości młodych, nie mógł uczynić nic gorszego. W sercach obojga zamigotała gotowość na miłość, bunt młodości tylko czekał, by zapłonąć. Znany był obojgu wzór Romea i Julii. Nic więcej nie było trzeba, by zapragnęli być razem. Chyba że Janisz był przebiegły i taką właśnie przyjął strategię: bo gdyby chciał rozkochać Teodora Bogosza w swojej Tosi, nie mógłby zrobić nic lepszego. Teodor zapragnął Tosi i zastanawiał się, czy stary przyjdzie do dworu na karty jak co tydzień. Czy tam, mając wstawiennictwo Pawła Borengi, dziedzica, warto Janisza przycisnąć do muru.

\*



# PROGRAM PARTNERSKI

GRUPY WYDAWNICZEJ HELION



- 1. ZAREJESTRUJ SIĘ**
- 2. PREZENTUJ KSIĄŻKI**
- 3. ZBIERAJ PROWIZJĘ**

Zmień swoją stronę WWW  
w działający bankomat!

**Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!**

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA WYDAWNICZA

 **Helion SA**

Losy rodzin są jak drzewa o rozwichrzonych gałęziach, splatają się ze sobą na wiele sposobów.

Najlepiej wiedzą o tym ludzie, którzy zbliżają się do końca swojego życia. Czasem wystarczy wsłuchać się w ich opowieści, by w pełnej krasie zobaczyć świat dawno miniony, odkryć sekrety przeszłych pokoleń, przeniknąć myśli i uczucia tych, których nie mieliśmy szansy poznać osobiście. Katarzyna Droga po raz kolejny zaprasza nas w magiczną podróż w przeszłość.

Korzenie rodziny Bogoszów nierozzerwalnie wiążą się z zajazdem na rozstaju dróg, tuż obok starej wierzby z bocianim gniazdem. Gdy w XIX wieku Henryk Bogosz kupuje ziemię pod Kalinowem, gniazdo już istnieje. Powracające co roku ptaki widzą, jak powstaje gospoda, jak zarządzają nią kolejne pokolenia. Są świadkami wojen, namiętności, tajemnic, zdrad, miłości, a nawet zbrodni w Gospodzie pod Bocianem. Mimo to każdy Bogosz wie, że tutaj bije serce małej wspólnoty.

*Powiedzieć, że to powieść emocjonująca, wzruszająca, trzymająca w napięciu — to za mało. Przeszłość przeplata się z teraźniejszością, namiętność z lękiem, siła ze słabością. Wchodzimy w świat sytuacji ekstremalnych, z którymi konfrontują się bohaterowie. Dla mnie poza fascynującą fabułą opartą na prawdziwej historii jest to opowieść o niezłomnej sile kobiet.*

MAGDALENA STUŻYŃSKA

 **editio**

 **Księgarnia internetowa:**  
<http://editio.pl>

 **Zamówienia telefoniczne:**  
**0 801 339900**  
 **0 601 339900**

Sprawdź najnowsze promocje:  
● <http://editio.pl/promocje>  
Książki najchętniej czytane:  
● <http://editio.pl/bestsellery>  
Zamów informacje o nowościach:  
● <http://editio.pl/nowosci>

Hellon SA  
ul. Kościuszkii 1c, 44-100 Gliwice  
tel.: 32 230 98 63  
e-mail: [editio@editio.pl](mailto:editio@editio.pl)  
<http://editio.pl>

ebook dostępny wyłącznie na:

**ebookpoint.PL**



ISBN 978-83-283-3826-5



Cena 39,90 zł